



MIASTO NA MIARĘ LUDZI

Rozmowę prowadzi Dominik Aziewicz – dziennikarz „Pomorskiego Przeglądu Gospodarczego”

Dominik Aziewicz: W jaki sposób otoczenie wpływa na to, jacy jesteśmy?

prof. Maria Lewicka: Winston Churchill powiedział kiedyś, że najpierw ludzie kształtują miejsca, a potem miejsca kształtują ich. Rzeczywiście, w psychologii dostrzegamy taką zależność. Z jednej strony miejsca, w których żyjemy są kształtowane przez samych ludzi – przez panującą ideologię, przez potrzeby obywateli itd. Z drugiej strony te miejsca później kształtują nas. Decydują one w dużym stopniu o tym, jacy jesteśmy – jak się postrzegamy, jak się samokomunikujemy, czy w ogóle się komunikujemy, czy chcemy w tych miejscach bywać. Zależność zachodzi w obie strony.

W jaki sposób zachodzi oddziaływanie między człowiekiem a środowiskiem, w którym żyje?

Psychologia daje kilka odpowiedzi na to pytanie. Bardzo intensywnie rozwija się nurt tzw. ucieleśnionego poznania, które mówi, że to, w jaki sposób odbieramy rzeczywistość w dużym stopniu zależy od naszego ciała, od naszych zmysłów. Inny nurt koncentruje się na możliwościach, które tworzy środowisko. James Gibson wprowadził do psychologii pojęcie afordancji. Ta teoria zakłada, że człowiek postrzega środowisko przez pryzmat tego, co można w tym środowisku zrobić. Afordancja to relacja pomiędzy cechami organizmu człowieka, lub szerzej organizmu żywego, a cechami środowiska fizycznego, w którym ten organizm funkcjonuje. Są rzeczy, które w pewnych środowiskach robić można i rzeczy, których w tych samych środowiskach robić nie można. Im więcej różnych funkcji takie środowisko może pełnić, tym jest ono bogatsze. Bardziej przystaje do naszych zróżnicowanych potrzeb. Co za tym idzie – istnieją też środowiska kompletnie jałowe, pozbawione tych afordancji. Są to takie miejsca, które omijamy, przez które przebiegamy, przechodzimy i chcemy jak najszybciej się z nich wydostać.

W jaki sposób odzwierciedlić tę teorię w rzeczywistości?

Językiem Gibsona lub językiem ucieleśnionego poznania mówi wielu współczesnych architektów. Rozumieją oni, że człowiek powinien mieć intymną relację z miejscem, w którym mieszka. Możemy ją rozumieć na kilka sposobów. Kiedy chcę się z kimś spotkać, wybiorę miejsce, które w moim odczuciu najlepiej się do tego nadaje. Inne miejsce jest dobre, żeby pójść tam na spacer – być może jest w nim coś, co warto zobaczyć.



*prof. dr hab. Maria
Lewicka*

Wydział Psychologii
Uniwersytetu Warszawskiego

Człowiek powinien mieć intymną relację z miejscem, w którym mieszka. Chętniej nawiązujemy więź emocjonalną ze środowiskiem, które stwarza nam wiele różnych możliwości. Z kolei te kompletnie jałowe chcemy jak najszybciej opuścić.

Bardzo ważne, żeby miejsce, w którym żyjemy miało odpowiedni poziom złożoności. Przyjrzyjmy się okolicom, przez które przejeżdża się samochodem. Są to naprawdę ogromne przestrzenie. Długie korytarze, które charakteryzuje mała ilość bodźców rozpraszających. Nadają się przez to do pełnienia tej jednej funkcji. Nie rozważamy ich jako miejsc nadających się do rekreacji. Nie postrzegamy ich jako „moje”. Człowiek chętniej nawiązuje więź emocjonalną ze środowiskiem, które stwarza mu wiele różnych możliwości. Jest z nim gotów się utożsamiać.

Co oznacza, że postrzegamy otoczenie przez pryzmat naszego ciała?

Jan Gehl używa określenia „miasto szyte na wymiar człowieka”. Nie przeskoczmy ograniczeń biologicznych naszego organizmu, np. naszych wymiarów. Mamy pewien wzrost. Oczy umieszczone na określonej wysokości. Poruszamy się z pewną szybkością. Kształtujemy przestrzeń, żeby odpowiadała potrzebom naszego ciała, np. umieszczamy szafki na takiej wysokości, żeby je dobrze widzieć. Kiedy poznajemy nową przestrzeń, to właśnie cechy związane z naszym wyposażeniem zmysłowym decydują, czy będziemy to miejsce lubili, czy będziemy się z nim utożsamiali. Mój ulubiony architekt – Christopher Alexander – prezentuje bardzo podobny pogląd. Opisuje, jak budować miasta, żeby odpowiadały fizjologii człowieka. Nowa urbanistyka, która dopiero się rozwija, odchodzi od spektakularnych, niewygodnych budowli. Oczywiście, klasyczni

architekci jej nie znoszą. Nie jest to styl budowania, który może przynieść im nagrody i splendor.

W jaki sposób przestrzeń może wpływać na relacje społeczne?

Wyzwaniem dla urbanistów powinno być łączenie ludzi, dbanie o to, aby różne grupy społeczne mogły koegzystować na tym samym obszarze. Jeśli wiemy, że osoby starsze mogą nie być w stanie prowadzić samochodu, to trzeba tak skonstruować przestrzeń, aby mogły dojechać wszędzie pieszo. Nie mówię już o tym, że młodemu człowiekowi też się czasem przyda, by wyszedł z samochodu. Szczególnie, że auta izolują nas od siebie. Tymczasem ludzie muszą się gdzieś „ocierać”. Jadąc samochodem, mogą się jedynie mijać. Proszę o tym pomyśleć jak o powrocie do starych wzorców. Miasta naprawdę nie były budowane z myślą o ruchu samochodowym. Społeczeństwo obywatelskie nie może funkcjonować w takich warunkach.

Pamiętajmy też, że polskie miasta naznaczyło doświadczenie socjalizmu.

Akurat pod tym względem nie jest to najgorsze doświadczenie. W Polsce po wojnie tworzyła cała grupa architektów, którzy realizowali architekturę społeczną – budowali osiedla i budynki w taki sposób, żeby zaspokajały one podstawowe ludzkie potrzeby. Budynki ustawiano tak, aby tworzyć między nimi przestrzenie, w których ludzie mogą się spotkać. Infrastruktura w starych blokowiskach

Nie przeskoczmy naszych ograniczeń – mamy pewien wzrost, oczy umieszczone na określonej wysokości, poruszamy się z pewną szybkością. Miasta powinny odpowiadać fizjologii człowieka, by żyło nam się w nich wygodniej.

W Polsce po wojnie realizowano tzw. architekturę społeczną – budowano osiedla tak, by zaspokajały one podstawowe ludzkie potrzeby. Dziś stawia się jedynie „sypialnie”, a o architekturze społecznej wolimy nie mówić, bo nam się kojarzy z socjalizmem.

zaspokajała typowe ludzkie potrzeby, na przykład zapewniała przedszkola, których teraz brakuje. Dzisiaj stawiamy na wysokość konstrukcji, gdyż przynosi to zyski. Budujemy na peryferiach, nie bacząc na trudny dojazd do miasta. Tworzymy osiedla, które są dla nas jedynie sypialniami, a o architekturze społecznej wolimy nie mówić, bo nam się kojarzy z socjalizmem, który jest „be”.

Jakie są korzyści tego, że ludzie się ze sobą „ocierają”?

Wszystkie moje badania nad przywiązaniem ludzi do miejsca pokazują, że jednym z najważniejszych czynników decydujących o tym, czy ten człowiek będzie do danego miejsca przywiązany czy nie, są kontakty społeczne. W przypadku miejsca zamieszkania decydujące są relacje sąsiedzkie. Wystarczy, że znam kilka osób w moim bloku i już mam poczucie, że przynależę do tego miejsca. Miasto powinno być tak konstruowane, żeby tworzyć przestrzenie półprywatne, półpubliczne, w których ludzie mogą się ze sobą spotkać. Ostatecznie jakie miasta uważamy za atrakcyjne? Te, które tętnią życiem. W których coś się dzieje.

Jak w takim razie zarządzać przestrzenią publiczną i prywatną w mieście?

Myszę, że jest to bardzo poważny problem. Amerykański urbanista Oscar Newman wyróżnił cztery rodzaje przestrzeni: czysto prywatną, półprywatną, półpubliczną i publiczną. Opisał również, jak one funkcjonują w zależności od wysokości budynku.

Okazuje się, że im mniejszy budynek, tym gładziej jest przejście między przestrzenią czysto publiczną, a więc dostępną dla wszystkich i przestrzenią prywatną, nad którą kontrolę mamy tylko my bądź nasza rodzina. W blokach przestrzeń publiczną zaczyna się tuż za ścianą, gdzie znajduje się klatka schodowa. Nie mamy nad nią kontroli. Co gorsza, to nie jest przestrzeń, w której chcielibyśmy spotkać się z ludźmi. Chcemy tamtędy jak najszybciej zejść na dół. Przed domem nie jest wiele lepiej. Tam są parkingi. To również przestrzeń, z której chcemy się szybko wydostać. Dlatego tak ważne na osiedlach są tzw. *soft-edges*, czyli te przestrzenie, pomiędzy publiczną i prywatną, gdzie chętnie spotykamy się z ludźmi. Możemy zaliczyć do tej kategorii tarasy, balkony czy przydomowe ogródki. Czujemy tam, że jesteśmy u siebie, ale jednocześnie jesteśmy częścią miasta. Niestety, bardzo ciężko wykreować takie przestrzenie, jeśli nie zostały wcześniej zaplanowane. Ten problem najlepiej widać w dużych miastach, np. w Nowym Jorku, gdzie cenny jest każdy metr.

Oglądając filmy z czasów socjalizmu uwagę zwraca łatwość, z jaką ludzie wchodzą do cudzych domów. Dlaczego to się zmieniło?

Ciekawa sprawa. Myszę, że nakłada się na to kilka różnych czynników. Po pierwsze, kiedyś nie było domofonów, więc łatwiej było wejść. Występowały deficyty, więc człowiek potrzebował pomocy

Jednym z najważniejszych czynników decydujących o przywiązaniu ludzi do danych miejsc są kontakty społeczne. Miasto powinno być tak konstruowane, żeby tworzyć przestrzenie półprywatne, półpubliczne, w których ludzie mogą się ze sobą spotkać.

Pomimo tego, że obok nas mieszka bardzo dużo osób, mamy większe niż kiedyś poczucie wyobcowania. Wynika to z poczucia nadmiaru. Istnieje jakaś ograniczona liczba relacji, które jesteśmy w stanie utrzymywać. Jeśli jest ich za dużo, zamykamy się do wewnątrz.

sąsiedzkiej. Lokatorzy współpracowali, np. dzielili się obowiązkiem mycia klatki schodowej. Poza tym w blokach było pełno usterek. Ciągłe się kogoś zalewało, więc siłą rzeczy ludzie się poznawali. Budowano trochę niżej niż dzisiaj, a domy były konstruowane w taki sposób, żeby pełnić funkcję społeczną. Jak już mówiłam, im wyższy budynek, tym większa izolacja, większa anonimowość, mniej ludzi się zna. Pomimo tego, że bardzo dużo osób mieszka obok nas, mamy większe poczucie wyobcowania. Myślę, że wynika to z poczucia nadmiaru. Istnieje jakaś ograniczona liczba relacji, które jesteśmy w stanie utrzymywać. Jeśli jest ich za dużo, zamykamy się do wewnątrz. Warto zwrócić uwagę, że w wysokich budynkach są windy. W związku z tym nie wiemy, kto mieszka na pozostałych piętrach. Nawet jeśli już kogoś znamy, to nie wiemy, jak się nazywa. Kiedyś były listy lokatorów. Ja sama znam jedynie kilka osób z mojej klatki, a mieszkam w tym miejscu już 14 lat.

Rosną mury pomiędzy ludźmi.

Nie tylko w przenośni. W dzisiejszej architekturze dominuje trend odgradzania się. Moda na zamknięte osiedla przyszła do nas z USA, a my jak zwykle przyjęliśmy ją w sposób bezkrytyczny. Prowadzimy badania na ten temat. Choć nie jest to proste – naszym badaczom trudno przejść przez te zasieki. Najczęstszym argumentem podawanym przez mieszkańców, którzy tłumaczą potrzebę grodzenia się, jest

poczucie bezpieczeństwa. Tylko, że jest ono bardzo złudne. Na osadzonych w więzieniach włamywaczach przeprowadzono badanie – pokazywano im różne zdjęcia i pytano, do którego domu zdecydowałiby się włamać. Często wskazywali budynki lepiej zabezpieczone, bo wyglądały na bogatsze. Najlepszym gwarantem bezpieczeństwa są relacje z sąsiadami. W holenderskim budownictwie istnieje nurt, który zabezpiecza osiedla poprzez dobry projekt. Są to osiedla otwarte, tak skonstruowane, żeby wszystko było na widoku i aby włamywacz nie miał gdzie się ukryć. Oczywiście, my zamiast wzajemnie pilnować naszej własności, wolimy zatrudnić firmę ochroniarską. W ten sposób pozbywamy się odpowiedzialności za miejsce, w którym żyjemy.

Wolimy kupić rozwiązanie problemu?

Nie dotyczy to wyłącznie problemu bezpieczeństwa. Na podobnej zasadzie zatrudniamy firmy sprzątające. Dzisiaj domy są bardziej sterylne, ale mniej spersonalizowane. Czy widział Pan kwiaty na oknach nowych budynków? Praktycznie ich nie ma. To samo tyczy się balkonów, które teraz służą głównie do wieszania prania.

Jeżeli nie czujemy się tak mocno związani z miejscem, to na jakiej podstawie budujemy naszą tożsamość lokalną?

Odgradzanie się argumentujemy względami bezpieczeństwa, a w rzeczywistości pozbywamy się odpowiedzialności za miejsce, w którym żyjemy. Dla naszego bezpieczeństwa dużo lepsze są to osiedla otwarte i zaprojektowane tak, by wszystko było na widoku.

Odkrywanie przeszłości, np. niemieckiej, w polskich miastach zaczyna pełnić funkcję pomostu pomiędzy przeszłością a terażniejszością. Młodzi ludzie, którzy tego dokonują nie mają obaw, że pamięć ta będzie podważała ich prawo do tych miejsc.

Ludzie mają silną potrzebę zakorzenienia się. W ogrodzonych osiedlach te więzi są słabsze, ale może być tak dlatego, że są to osiedla nowe. Zakorzenianie się w dużym stopniu zależy od długości zamieszkania. Istnieją też dane, które pokazują, że przywiązanie jest silniejsze w mniejszych miejscowościach, a w dużych miastach jest ono trochę słabsze. Różny może być charakter więzi z miejscem. Zmienia się on np. w zależności od wykształcenia albo mobilności. Za swoje miejsce zamieszkania biorą niewątpliwie odpowiedzialność ruchy miejskie, ale ma to trochę inny wymiar. Oczekują miejsc spotkań i możliwości aktywnego spędzania czasu.

Warto wspomnieć, że tego rodzaju poczucie odpowiedzialności za przestrzeń, w której się żyje, jest pozytywnie skorelowane z wykształceniem. Stosunek do miejsca osób niżej wykształconych jest bardziej emocjonalny i mniej refleksyjny. Osoby z wyższym chcą np. poznać historię miejsca, w którym żyją. Ta pamięć miejsca, jak ją nazywamy, ma dla tożsamości duże znaczenie.

Co z miastami, które historycznie należały do innych narodów? Czy w takiej sytuacji zgłębianie ich historii również sprzyja utożsamianiu się z miejscem?

Badam na terenie Polski, Ukrainy i Litwy miasta, które zmieniły swoją tożsamość narodową. Im bardziej człowiek czuje, że istnieje ciągłość miejsca, jakiś logiczny ciąg zdarzeń, który doprowadził do tego, co się teraz dzieje, kto tu mieszka oraz im silniejsze jest przekonanie, że musimy pamiętać o ludziach, którzy tutaj mieszkali, tym to przywiązanie jest silniejsze. Postrzegamy wtedy takie miejsce jako ważne dla nas i – szerzej – dla całej społeczności.

Nie jest problemem, jeśli pamięć miejsca może podważać moje prawo do niego?

Myszę, że powoli przestajemy myśleć w tych kategoriach. Odkrywanie przeszłości niemieckiej w naszych miastach pełni funkcję pomostu pomiędzy przeszłością a terażniejszością. Młodzież, która z entuzjazmem odkrywa dzieje Wrocławia albo Elbląga nie ma takich obaw. Powiem więcej. Osoby, które odcinają się od przeszłości, czują się mniej związane z miejscami i postrzegają je jako mało znaczące. Co ciekawe, taka percepcja swojego otoczenia sprzyja postawom ksenofobicznym.

Mam wrażenie, że za naszą wschodnią granicą również pojawia się to lepsze postrzeganie. Będę to jeszcze dokładnie badała. Na razie przeprowadziłam z moją doktorantką pilotażowe badanie na Uniwersytecie Lwowskim, z którego wynika, że utożsamianie się z uniwersytetem jest większe u studentów, którzy rozumieją polskość tego miejsca i podchodzą do tego pozytywnie. Dostrzegają w tym wartość. W najbliższej przyszłości planuję przeanalizować pod tym samym kątem uniwersytety we Wrocławiu i w Wilnie.

O ROZMÓWCZYNI:

Prof. dr hab. Maria Lewicka jest pracownikiem naukowym Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego i kierownikiem Katedry Psychologii Społecznej tegoż wydziału. Prowadzi badania empiryczne dotyczące związków człowieka z miejscem zamieszkania, pamięci miejsc oraz aktywności i bierności społecznej.